

Mirosław Derecki

BALLADA O KOWALU

Nazwisko moje - Szymczyk Wojciech. Urodziłem się roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego, trzynastego marca - wedle nowego stylu - we wsi Karczmiska guberni lubelskiej, z ojca Wawrzyńca i matki Marii, z domu Goliszek.

Goliszki - znany to, rozległy chłopski ród w naszej wiosce, ale i Szymczyków kura z ziemi nie wygrzebała, z dawna tutaj na gospodarstwach siedzieli, pańszczyznę u dziedzica, pana Wesła, odrabiając. Jeszcze mój ojciec. Ale już ja na przykład, z kolejnym dziedzicem Radeszkiewiczem, w różnych ugrupowaniach politycznych będący, nie jeden raz się ciąłem. To ma się rozumieć po powrocie z Rosji, gdzie w czasie rewolucji odpowiedniej świadomości nabyłem.

W domu byłem najmłodszy z siedmiu braci. Ojciec niebiedny, czternaście morgów posiadał, ale co robić jak dzieci dorosły i się pożeniły? Jednemu odkroił dwie morgi, drugiemu to samo i tak szło i szło, aż wreszcie z rodzicami na niewielkim zagonie zostałem. Gdy miałem szesnaście lat, nie widząc możliwości ułożenia sobie życia na wsi, zdecydowałem się zdobyć jakiś zawód. Poszedłem do terminu kowalskiego, do mistrza Pawełczaka z Wąwolnicy. Po dwóch latach wyzwoliłem się i już jako czeladnik pracowałem kolejno w Nałęczowie u Rowińskiego, w Puławach u mistrza Czerwińskiego na ulicy Polnej, gdzieśmy przeważnie bryczki i dorożki robili, bo dorożkarzy było wówczas w Puławach zatrzęsienie, a na koniec, przed samą pierwszą wojną, znalazłem się w Opolu, w warsztacie ślusarsko- mechanicznym mistrza Myczkowskiego Bronisława.

Myślałem, że mnie służba wojskowa jakoś ominie, bo się liczyłem jako jedyny żywiciel starych rodziców. Ale gdzie tam. Wybuchła wojna i potrzeba było ludzi na mięso armatnie. Tak, że ani się spostrzegłem, jak się znalazłem na punkcie zbornym w Lublinie, w grudniu 1914 roku, gdzie mnie zaraz przydzielili do artylerii polowej. Jak ruszył eszelon, było nas czterdzieści wagonów rekruta, tylko do artylerii. Jechaliśmy dziesięć dni do Samary. Piękne miasto, nad szeroką Wołą rozłożone. Tam popadłem do Trzeciej Zapasowej Artyleryjskiej Brygady, pierwsza bateria, trzeci pluton. Dowódcą brygady był pułkownik Sawrymowicz, a moją baterią dowodził kapitan Warszawicz.

Kto umiał czytać i pisać, szedł na szkołę podoficerską. Ja też się dostałem, bo choć w Karczmiskach szkoły nie było, brat mój najstarszy. Andrzej, który służył w piechocie na japońskiej wojnie - azubki, a potem i rosyjskiego czytania i pisanie mnie samorzutnie wyuczył. Nie powiem, działa mi się podobały, zawszeć to mechanizm skomplikowany, a ja kowal- ślusarz, więc i

zainteresowanie posiadałem. Tak, że bez większego wysiłku odbyłem sześciomiesięczny kurs (jeszcze mi do dzisiaj notatki z tego kursu zostały) zdałem egzamin i wyszedłem ze szkoły w stopniu młodszyj fejerwerkier.

Siedzieliśmy na tyłach i przez to źle nam nie było, aleśmy się orientowali, że na froncie musi być z Ruskimi krucho. Bo coraz więcej do Brygady przychodziło „bielobiletników” znaczy się starych chłopów, po czterdziestce, co dotąd, biały bilet mający, do wojska się nie nadawali, a tu teraz trzeba ich było ćwiczyć, a potem jechali prosto na front. Wśród nich sporo było robociarzy, niektórzy aż z samego Petersburga. Mówili, że należą do partii bolszewików i nas też do partii agitowali, że to, mówią, chłop pańskim butem uciemiony, z robotnikami sojusz musi trzymać przeciwko carowi, pomieszczykom i kapitalistom. Budzili w nas, znaczy, społeczną świadomość.

27 lutego 1917 roku nadeszła radosna nowina - car obalony. U nas szczególnie dużo żołnierzy opowiadało się za bolszewikami. Powstał w Samarze Gorodskoj Sowiet Narodnych Komisarow, powstała milicja obywatelska. Czas był, trzeba powiedzieć, niespokojny, niezdrowy element, różne lumpy, często wywoływały uliczne zamieszki, rabowały sklepy, magazyny, co popadło. A mieńszewicy tylko ich do tego podżegali, żeby pokazać, że bolszewicka władza słaba, nie umie sobie dać rady z chuligaństwem i żulią. Czerwona milicja faktycznie nie zawsze potrafiła dać sobie radę, mało ich było, ale od czego w mieście rewolucyjne wojsko? I tak się stało, żeśmy stworzyli Wojennuju Milicju. Jeździliśmy na konne patrole, w dwunastu żołnierzy, na rękawach mieliśmy czerwone opaski z białymi literami „W.M.”, za uzbrojenie - szable i nagany.

Z tych patroli chwila 3 maja 1917 roku najbardziej mi utkwiała w pamięci. Jechaliśmy w szyku kawaleryjskim, trójkami, ja, jako dowódca, na czele. Jedziemy ulicą Troicką - cisza. Wjeżdżamy na Saratowską - też spokój. Ale od ulicy Sadowej słychać szum, krzyki, pijackie wycie - znaczy jakaś większa draka tam się odbywa. Nahajami po koniach i szybko wpadamy w tę Sadową. A tam - sądny dzień! Tłum rabuje sklep kupca Sacharowa. Beczki z piwnic wytoczyli, wino się leje, jeszcze, jeszcze a podłożą ogień, pożar wybuchnie i może być dla miasta nieszczęście. Podjeżdżamy blisko, wołam gromko: „raaazejdiiś!”. Gdzie tam! Śmieją się, butelkami w nas zaczynają rzucać. Przeformowałem patrol w szóstki żeby konie całą szerokość jezdni zajmowały, podałem komendę: „szaszki won”, i „bystrego klusa marsz, marsz!” Jak zgraja zobaczyła, że szable błyszczą, że lecimy na nich w dwunastkę jak kupa czortów a płazujemy kogo popadnie - rzucili się do ucieczki. Tylko ja osobiście zostałem poszkodowany. Dostawszy w twarz butelką zalałem się krwią i do dzisiejszego dnia nos mam trochę krzywy.

W ostatnich dniach listopada 1917 r. rocznik mój zwalniali z wojska. Wsiadłem w pociąg i pojechałem do Grupy Kaukaskich Wód Mineralnych, do Piatigorska. Cztery doby tłukłem się koleją przez Penzę, Saratow, Carycyn, Rostów i Wielką Tichorecką. Dlaczego tam pojechałem? W Piatigorsku mieszkał z dawna jeden szewc z Karczmisk, niejaki Słotwiński Władysław, który się tam osiedlił z rodziną po odbyciu służby wojskowej, a ja, jeszcze w Karczmiskach, wziąłem sobie jego adres. Na wszelki wypadek. I teraz się przydał.

Piatigorsk - piękne to miasto. Sady, ogrody wspaniałe, wille i sanatoria, wszystko u podnóża wielkiej góry Maszuk położone. Przez miasto przepływa rzeka Podkumok. Zaraz niedaleko jest góra Biesztai, skąd widać jak się szklą lodowce Elbrusu. Ciepło, klimat łagodny, wody mineralne siarkowe. Na wzgórzach, w bukowych lasach piękne altanki i grotty z ławeczkami dla kuracjuszy. Jedna altana nazywała się dziwnie - Harfa Eola. Były też Grota Diany i Grota Lermontowa. Pamiętam też dobrze w centrum miasta pomnik Lermontowa, wielkiego ruskiego poety, który tutaj, pod górą Maszuk, zginął w pojedynku.

Ale Piatigorsk to nie tylko uzdrowiska. Znajdowały się tam fabryki, warsztaty tramwajowe, elektrownia, a przy uzdrowisku zakłady protezowo- ortopedyczne, w których też ja się natychmiast zatrudniłem na wydziale ślusarskim. Robota to była delikatna, odpowiedzialna i wiele przy niej trzeba mieć było przenikliwości, szczególnie gdy chodziło o dolne protezy, bo ręka to ręka, ale na nodze się człowiek przez całe życie opiera. Pamiętam, jednemu żołnierzowi montowałem obie nogi. Jedną wyżej, drugą niżej kolana. Najpierw płakał i życie przeklinał, ale po pewnym czasie przyszedł do mnie, śmieje się i powiada: „Dobry z ciebie majster, Wojciechu Ławrientijewiczu. Całe życie katar się mnie trzymał. A wczoraj wlałem tymi twoimi nogami w wodę i... nic. Jeszcze trochę, a na konia wsiądę i na Denikina z moimi pociągnę”.

I jakby złe wywróżył. Był początek 1919 roku, pod Piatigorsk podciągnął generał Denikin ze swoim wojskiem. No cóż, zebraliśmy się w kupę, komuniści, bo już wtenczas do partii należałem, towarzysz z pracy, Iwan Położienko, mnie tom zaagitował, wzięliśmy karabiny i dalej na przedpola miasta. Ale mało nas było, większość z Armią Czerwoną odeszła. Przez całą noc odpieraliśmy ataki Kozaków. Rano patronów, znaczy - naboji nie starczyło, rozeszliśmy się do domów. No i zaczęła się władza Denikina. Nie lekka. Któregoś dnia wyszedłem z domu do pracy, jedzie patrol kozacki. Zanim się obejrzałem, już mnie mieli. Ich oficer powiada: „nu, pokaży niki?”. Pokazuję. Ręce jak to u ślusarza, chropowate, smarami przeżarte. „Raboczij? A raboczij, znaczyt i bolszewik!” - krzyczy ten oficer i do swoich: „Brać go!” Uszliśmy kawałek niewielki, patrzę, na Posietitielskoj ulicy stoi pod ścianą grupa takich jak ja, z rękami nad głową. Kozacy ich pilnują. Poczulem zaraz, że coś się niedobrego święci. Tylko się Kozak odwrócił, ja przez płot, w ogrody, kule za mną świszczą, ale ja już do rzeki Podkumok się dobrawszy wpław ją przebywam. Uciekiem. A tych, co zostali, Kozacy na drugi dzień rozstrzelali.

Teraz opowiem o śmierci komisarza gubernialnego Andrzejewskiego. Za radzieckiej władzy, w 1918 roku, często do nas z Saratowa przyjeżdżał, do ludzi przemawiał. Najczęściej w Teatrze Wielkim. Zawsze wtedy kupa narodu się zbierała. Jak miejsca w sali nie stało, tym, co zostali na dworze, ludzie z wnętrza przekazywali jego słowa. Dobry człowiek, przystępny. Wybitny mówca. Potrafił trzy godziny mówić bez przerwy, a wszystko prosto od serca, po ludzku - i ani się zająknął. Mówił, z pamięci wszystko, nie z kartki. Aby wodę co pewien czas z karafki popijał. Mówca był jeszcze u nas drugi, Ordżonikidze. Ale już nie dokazał nigdy tego, co Andrzejewski.

I tego Andrzejewskiego biali gdzieś koło Baku wzięli do niewoli, a potem przywieźli do

Piatigorska i tutaj mu śmierć haniebną zadali. Na pagórku pod górą Maszuk zbudowali szubienicę i na niej, na widok całemu miastu, go powiesili, postawili obok straż i trzy dni ten trup wisiał. Ja, znając tego człowieka i szanując, poszedłem potem, żeby go w jakiś sposób pożegnać. Dużo ludzi stało pod szubienicą, całymi godzinami stali i patrzyli. Kobiety płakały. Wisiał komisarz Andrzejewski w samych tylko kalesonach, koszula na plecach od bicia porwana, wiatr nim kołysał. Tacy barbarzyńcy to byli.

Jak władza radziecka z powrotem nastąpiła, ciało Andrzejewskiego wykopali i został pochowany w parku miejskim. Miano mu budować pomnik, ale tego już nie doczekałem, bo wyjechałem do kraju. Ale to dopiero w 1922 roku. A na razie był rok 1920. Denikin i jego wojska przepadły na zawsze, a my zaczęliśmy umacniać nowy ustrój. Pomyślałem, że człowiek nowoczesny, to człowiek uczony. W związku z czym zapisałem się na Uniwersytet Ludowy, który właśnie zorganizowany został w budynku Żeńskiego Uczyliszcza przy Prospekcie Swobody. Trzy razy w tygodniu w godzinach popołudniowych odbywały się wykłady i wtedy największa sala gimnazjalna nabita była młodzieżą. Wykłady z matematyki miał profesor Kaniewski, fizykę, geologię, historię kultury, a także samo „obszczestwo- wiedienije” wykladał profesor Wasilew. Ten Uniwersytet dał mi bardzo wiele i jeszcze do tej pory przechowuję na pamiątkę notatki z tamtych wykładów.

Zastanawiałem się, czy by nie osiedlić się w Piatigorsku, jak rodzina Słotwińskich, na stałe. Ale przecież do swojego kraju człowieka ciągnęło. I rodzice pisali: przyjeżdżaj, pomóż nam, starym. Więc w 1922 roku zdecydowałem się na powrót. Wraz z kolegą, niejakim Gębusiem Bronisławem, który też służył w armii rosyjskiej, a potem pracował w sanatorium w Piatigorsku, wyjechaliśmy do Charkowa, gdzie urzędowała polsko-radziecka komisja repatriacyjna.

W trzy tygodnie jechaliśmy już transportem do Polski, przez Połtawę, Kijów, Szepietówkę. Na stacji Krzywlin przejęli transport kolejarze polscy. Ale jeszcze trochę wcześniej, w Szepietówce, zakopaliśmy z kolegą Gębusiem pod lasem koło stacji nasze rewolucyjne papiery i partyjne legitymacje, a także samo nagan, co go jeszcze miałem z wojska. Bo już nam wszyscy mówili, że w Polsce jest inna władza i jak przy nas znajdą coś takiego, będzie niedobrze. Faktycznie, i bez tego miałem później sporo nieprzyjemności, że to wróciłem „od bolszewików”. Ten nagan pewno już w ziemi rdza zjadła, ale tak myślę nieraz, że dokumenty jeszcze są, bośmy je do butelki włożyli i dobrze korkiem zaszpuntowali.

Jak przyjechałem do Karczmisk, ojciec już nie żył, tak samo dwóch braci, Antoni i Andrzej, którzy zmarli jak za Austriaków tyfus panował. Rodzina ogołocona z mężczyzn, trzeba było brać się za robotę, pomagać wszystkim. Założyłem kuźnię w Karczmiskach. Jeszcze dotąd stoi. Na pagórku, nad strumykiem, między wierzbami. Przepracowałem w niej prawie pół wieku.

Po powrocie miejscowa władza mówiła na mnie: „bolszewik”. Albo - „czerwony”. Na dodatek nie w smak im było, że zaraz zapisałem się do Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie” i zacząłem aktywną działalność. Najgorsza czasy przyszły, jak powstał BBWR. Wtedy był sekretarzem w

gminie Bukowski Józef, a wójtem Barzycki Władysław. Należeli właśnie do BBWR i wyżywiali się jak mogli na członkach naszej organizacji. Nieraz w bardzo przewrotny, złośliwy sposób. Na przykład w 1935 roku wyszło takie zarządzenie, że każdy kowal musi mieć świadectwo ukończenia kursu kucia koni. To było dla mnie bardzo ważne. Z czego wyżyje kowal jak koni nie będzie kuł? I właśnie był organizowany taki kurs w Garwolinie, w 1 pułku strzelców konnych. Pojechałem tam. Pewnego dnia przychodzi do mnie szef kuźni, wachmistrz, zapomniałem nazwiska, i powiada: „Na pana jest w dowództwie pułku pismo z gminy w Karczmiskach, żeby pana nie dopuścić do egzaminu, bo jest pan „polityczny”. Ale mnie polityka nie obchodzi, tylko jak kto kuje. A pan kujesz dobrze”. Porządny człowiek, a ja zdałem z wynikiem bardzo dobrym.

W okresie międzywojennym byłem współzałożycielem miejscowej Kasy Stefczyka i spółdzielni „Swojak”. Kiedyś zapoczątkowaliśmy działalność tej kasy z niewielkimi wkładami, a teraz mamy w Karczmiskach Bank Spółdzielczy, który obraca milionami i ludzie są z niego dumni.

W 1923 roku ożeniłem się, miałem z żoną dwóch synów. Byliby pewnie żyli do dzisiaj, ale wybuchła znowu wojna. No cóż, my wszyscy, starzy ludowcy, wstąpiliśmy do Batalionów Chłopskich, tak samo mój starszy syn Edward i młodszy Henryk. Henryk pracował przy kolportażu prasy podziemnej. To była praca mniej niebezpieczna, dlatego przeżył wojnę. Ale Edward wciągnął się do organizacji bojowej. Zginął 25 maja 1944 roku podczas ataku na kolejkę wąskotorową obok stacji Niezabitów. Był jedynym poległym partyzantem w tej akcji. Ja miałem w organizacji pseudonim „Młot”, bo to jest podstawowe narzędzie w zawodzie kowalskim. Razem z Edwardem zajmowaliśmy się w naszej kuźni rusznikarstwem, jak trzeba było zreperowaliśmy niejednego polskiego visa i niejednego Niemcom odebrany szmajser. Wiszą jeszcze w kuźni dwa pierścienie od karabinów, któreśmy z Edwardem reperowali. Lubię na nie patrzeć, bo mi przypominają wspólną robotę z synem.

Mam teraz siedemdziesiąt sześć lat. Jestem członkiem ZSL I ZBoWiD oraz przewodniczącym rady nadzorczej GS. Już czwartą kadencję pełnię funkcję ławnika Sądu Powiatowego w Opolu.

Takie to przeżycia miałem. W kuźni już rzadko pracuję, bo stary się człowiek zrobił i nie ma już tej siły, co dawniej. Czasem jeszcze sąsiadowi konia podkuję...

Pierwodruk: „Kamena”, 1970, nr 23, s. 7.